Kraków, 7-go września 1913 r.

Rok 9. Nr. 18.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 36.

Dzieci kochane!

Nowy rok szkolny się zaczyna — zaczyna się nowa praca dla was, a bardziej jeszcze dla waszych Nauczycieli i Nauczycielek. Ale czy tylko praca nowa się zaczyna? Wszak w szkole czekają na was i nowe przyjemności. Prawda jak to wam miło i wesoło bawić się podczas przerwy w gronie kolegów i koleżanek, jak miło z nimi razem pójść na wycieczkę. A jakże się cieszycie, gdy was w szkole nauczą jakiejś nowej piosenki, a skocznej, wesołej, że same nogi skaczą w jej takt. Czy może nie cieszycie się, gdy wam w szkole pokażą piękny obraz, a coś nowego, ciekawego opowiedzą, czegoście nigdy przedtem nie słyszały? Patrzcie dzieci, ile to przyjemności niesie wam szkoła. Ale wy same o tem dobrze wiecie i cieszycie się, gdy się już nauka rozpoczyna po wakacyach. A, bo miłe są lata w szkole spędzone — trzeba jednak, aby były i pożyteczne. To zaś już tylko od was zależy. Uważajcie tylko pilnie w szkole, uczcie się dokładnie każdej zadanej lekcyi, piszcie starannie wasze ćwiczenia, nie sprzeczajcie się z kolegami i koleżankami, nie skarżcie na nich, utrzymujcie w porządku wasze przybory szkolne, nie zostawiajcie śmieci w klasie, pod ławką, ani na korytarzach — dla wszystkich bądźcie grzeczne i uprzejme — a nowy rok szkolny będzie dla was bardzo przyjemny i pożyteczny. Ale to trudno takim być — pomyśli niejeden chłopczyk, albo dziewczynka. Prawda, że nie łatwo — nawet niemo-

źliwe bez pomocy Bożej. Ależ od czegóż jest pacierz przed nauką i po nauce? Właśnie na to, abyście sobie dzieci drogie uprosiły u Pana Boga pomoc potrzebną, do nabycia nauki i cnoty. Odmawiajcie tylko ten krótki pacierz pobożnie i z uwagą, a z pewnością uprosicie sobie u P. Boga wiele łaski i będzie wam łatwo być pilnemi i grzecznemi. Proście o to gorąco i Matki Najświętszej. Oto jutro obchodzimy święto Jej Narodzenia. W każde Swoje święto Matka Najświętsza rozdaje wiele łask tym, którzy ją uczczą. Więc i wy dzieci kochane wysłuchajcie Mszy św. i przystąpcie do Komunii św., a i wam Matka Najświętsza da wiele łask i pobłogosławi wam w tym nowym roku szkolnym.

Święty Wojciech.

Po ziemi dawnych Prusów, którzy byli bratnim ludem Litwinów, obiegła wieść, że przybyło do nich trzech gości z kraju sąsiedniego, nad którym panuje najpotężniejszy z królów ziemskich: Bolesław Chrobry; — że goście owi dobili właśnie do przystani, wysiedli ze statku na ląd i dążą do nich. Więc z siół różnych pośpieszyli ciekawsi przypatrzeć się obcym.

Jeden, najpoważniejszy wiekiem, miał na ramionach kapę złocistą, na głowie czapkę wysoką, w ręku długi kij, zakręcony u góry; dwaj drudzy byli przybrani w białe ornaty.

Ciekawi zastąpili im drogę; przez chwilę w milczeniu przypatrywali się sobie wzajemnie, poczym najśmielszy z gromady Prusów zapytał tonem wyniosłym:

— Coście za jedni i czego od nas chcecie?

— Jestem Słowianin, wasz sąsiad i przyjaciel — odparł najstarszy z podróżnych; — byłem dawniej biskupem Czech, teraz jestem apostołem. Bolesław, król polski, któremu hołd oddajecie, prosił, bym was oświecił, bo ciemni jesteście. Chcę dobra waszego, chcę wam utorować drogę do szczęścia; chcę, byście Boga mego uznali Panem, aby ten Ojciec najlepszy otoczył was swoją opieką. Ci dwaj — są

to moi towarzysze; imię moje jest Wojciech, młodszego z nich Radim, starszego Benedykt.

— Próżnoś się trudził tak daleko — odparł hardo Prusak — mamy własne bogi, ci nad nami czuwają; i własne prawa mamy, które szczęście nam dają — innych nie chcemy. Wracaj do swoich, jeśli żyć pragniesz.

Lecz św. Wojciech przestrogi nie słuchał, ominął w milczeniu tłum i zapuścił się w głąb kraju; po drodze wstępował do chat i głosił naukę Chrystusa. Lecz Prusacy byli głusi na jego słowa i nikt chrztu nie żądał.

Pewnego dnia, apostołowie strudzeni wielce, nie mogąc nigdzie dopatrzeć chaty, postanowili spocząć pod gołym niebem i wszedszy na pole zorane, wyciągnęli się na pulchnej ziemi i usnęli twardo, ani domyślając się, że popełniają świętokradztwo, gdyż pole, na którym się położyli, było miejscem poświęconym przez Prusaków ich bogom i tylko kapłanom wolno było na nie wstępować.

Wtym zbudziły ich wrzaski dyszące gniewem: podnieśli się zdziwieni i ujrzeli, że są otoczeni przez tłum, który im wygrażał pięściami, coś krzyczał, czegoś złorzeczył!

Po chwili tłum ten rozstąpił się, a na pole wkroczyło kilku kapłanów; ujęli oni pod ręce apostołów, wyprowadzili ich z pola i powiedli na poblizkie wzgórze, a gdy stanęli na szczycie, jeden, najpoważniejszy wiekiem, odezwał się głosem surowym:

— Znieważyliście nasze miejsce święte: położyliście się na polu, bogom poświęconym, więc musicie umrzeć!

— Jam jeden winien — odparł św. Wojciech — mnie ukarz; młodzieniaszkom pozwól wrócić do ziemi ich ojców.

Kapłan miał w sercu litość i zgodził się na to, o co prosił św. Wojciech. Przywołał siedmiu uzbrojonych Prusaków i wskazawszy apostoła, rzekł:

— Ten karę za czyn swój i braci swoich poniesie; spełnijcie wolę bogów.

I siedem oszczepów utkwiło w piersi apostoła, który padł martwy.

Wielce zmartwieni towarzysze świętego uprosili kapłana pogańskiego, by ciało ich przewodnika ukrył tymczasowo; przyrzekli, że książę Bolesław, wykupi je, poczym

podążyli do Gniezna z wieścią żałobną. Bolesław szczerze zapłakał nad śmiercią zacnego męża i wysłał natychmiast poselstwo po zwłoki św. Wojciecha. Wykupił je na wagę złota i złożył w kościele katedralnym miasta Gniezna.

Była sobie dziewczynka.

Była sobie dziewczynka,
Której kwaśna minka
Wszystkich odstraszała,
Nawet przerażała.

Od samego rana,
Zawsze nadąsana,
Przy ubraniu nudzi,
I długo marudzi.

To za małe buciki,
Za duże guziki,
Przy pacierzu ziewa,
Na wszystkich się gniewa.

A gdy czesze włosy,
Krzyczy w niebogłosy,
Grzebień rzuca, łamie,
Wciąż dokucza mamie.

Tylko nosek myje,
Sniadania nie pije,
Bo mleko zdymione,
Masło przesolone,
Chleb nie dopieczony,
Ser nie dosolony.

Gdy szkoła zaczęta,
I wszystkie dziewczęta
Nauki słuchają,
Zadania oddają —

Wtedy wchodzi ona,
Kwaśna, nachmurzona.
Lekcyi swej nie umie,
I nic nie rozumie.

A te ciągłe złości,
Wrosły już w jej kości,
Postać, twarz zmieniły,
Srodze oszpeciły.

Gdy dziecię jest grzeczne,
Wesołe, serdeczne,
Wszyscy je kochają,
Chętnie dogadzają.

Jak się koń zlitował nad ropuchą.

Działo się to latem, przed wieczorem. Tylko co przeszła wielka burza.

Cisza panowała wokoło, słońce zniżało się ku zachodowi i promienie jego przeglądały się w kałużach wody, — mokre listeczki lśniły na drzewach.

Na drogę wypełzła ropucha i siadła na brzegu kałuży. Podniosła swoją brzydką głowę i zaczęła przyglądać się słońcu, jak gdyby zachwycając się jego pięknością. Siedzi sobie ropucha cichutko, w zamyśleniu, nie czuje swej brzydoty, nikogo się nie boi i sama nikomu nic złego nie życzy.

Wtym dzieci zauważyły ropuchę, zatrzymały się i zaczęły się śmiać.

— Możeby zabić to obrzydlistwo, jak uważacie? — odezwał się jeden z gromadki chłopców.

— Fe, jakaż ona wstrętna — rzekł drugi. — Patrzcie, jak wytrzeszczyła na nas oczy. Czekajcie, zabawimy się z nią pięknie!

Nałamali ostrych gałązek i zaczęli bić ropuchę, śmiejąc się przytym i nie czując swego okrucieństwa.

Biedna ropucha uciekała, starając się schować, ale chłopcy zagradzali jej ciągle drogę.

Jeden z chłopców przewrócił ropuchę na wznak, a biedaczka męczyła się strasznie, starając się stanąć na nogi, wreszcie udało jej się to i powlokła się dalej.

Niedaleko jednak uszła, gdyż wpadła w rowek, z którego nie mogła się wydostać; zaczęła więc iść wolniutko bruzdą. Zdawało jej się, że tu będzie lepiej, że w błocie będzie bezpieczniejszą, niż na górze wśród ludzi. Ale niedobrzy chłopcy nie spuszczali ropuchy z oka.

— Janek! Janek, patrz! Znów pełznie i wytrzeszcza na nas ślepie. — Poczekaj, pójdę, poszukam dużego kamienia.

I chłopiec pobiegł szukać kamienia, a reszta chłopców nie spuszczała ropuchy z oczu, szli za nią brzegiem bruzdy i popychali kijkami.

Wtym na drodze ukazał się chłop z wozem; wóz ciągnął stary koń, wytężając swoje drżące tylnie nogi, potykając się na przednie. Chłop szedł z boku, uderzając go batem po chudych bokach i plecach. Wóz był bardzo ciężki, a droga błotnista i grząska.

Skrzypiały nienasmarowane koła, a biedny, zmęczony koń posuwał się z trudem naprzód.

Chłopcy spostrzegli, że wóz musi najechać na ropuchę i czekali z niecierpliwością, co się teraz stanie.

I oto wóz nadjechał bliziutko. Koń, zauważywszy ropuchę, zatrzymał się, wyciągnął szyję i zaczął ją obwąchiwać. Chłop uderzył go batem. Koń podniósł głowę, naprężył ze wszystkich sił i omal nie przewrócił wozu.

Chłop rozgniewał się i uderzył go po pysku, żeby jechał dalej.

Ale koń wyprężył się ostatkiem sił, wyjechał z brózdy i ominął to miejsce, gdzie leżała biedna, katowana przez chłopców ropucha.

— Zlitował się — szepnął cichutko jeden chłopiec i nagle zrobiło im się wszystkim bardzo nieprzyjemnie. Rzucili kije i ze spuszczonemi głowami wrócili do domu.

A ropucha, nie zaczepiana już przez nikogo, dowlokła się do pierwszego kamienia i ukryła pod nim.

Rak i Małpa.

(Bajka japońska.)

Dawno, bardzo dawno temu, żył sobie pewien raczek, który mieszkał w małej ładniutkiej norce, na zboczu góry, gdzie prawie zawsze panował cień.

Pewnego razu, rak spostrzegł, iż na drodze leży ryż gotowany; zapewne jakiś podróżny zapomniał go na noclegu.

Raczek postanowił zabrać ten ryż do domu. Wtym podeszła do niego małpa, która mieszkała na tej samej górze i również miała apetyt na ryż, i rzekła:

— Wiesz co, zamienimy się; oddaj mi ryż, a ja ci dam nasionka od pomarańczy.

Może wam się zdaje, że raczek roześmiał się z propozycji małpy? Bynajmniej. Przechylił główkę na bok, pomyślał przez chwilę i zgodził się.

Małpa łapczywie połknęła ryż, a raczek starannie poznosił nasionka i zasadził je przed norką w swoim maleńkim ogródku.

Wiele lat minęło od tego czasu.

Pewnego razu małpce wypadło przejść obok norki raczka.

Patrzy, a rak siedzi sobie pod cieniem wspaniałego pomarańczowego drzewa, które wyrosło z zasadzonych przezeń nasionek.

— Piękne drzewo — rzekła małpa. — Masz takie śliczne drzewo pomarańczowe, a ja jestem taka głodna. Może dasz mi parę pomarańcz?

— Chętnie — odrzekł raczek — ale ja nie umiem łazić po drzewach, i będziesz musiała sama wdrapać się po nie.

— Ach! pozwól tylko! — mówi małpa.

Raczek pozwolił, lecz pod warunkiem, że małpa da mu połowę tego, co narwie.

Małpa wskoczyła na drzewo, objadła się pomarańcz do syta, napchała sobie pełne kieszenie i ogołociła całe drzewo, a biednemu raczkowi rzuciła zaledwie jakieś tam dwie zepsute pomarańcze. Oburzył się raczek i krzyknął małpie na pożegnanie, że jest nicponiem i nie dotrzymuje danego słowa. Ale małpa obraziła się i jak zaczęła obrzucać biednego raczka niedojrzałemi i nawpół zgniłemi pomarańczami, tak, omało że go nie zabiła.

Widzi raczek, że nie da sobie rady z małpą, gdyż jest od niej słabszy, więc uspokoił się i rzekł:

— Słuchaj no, małpo! — Umiesz wprawdzie doskonale drapać się na drzewa, ale wtedy tylko, gdy mają gałęzie. Po gładkim pniu bez gałęzi napewnobyś nigdy nie wlazła.

Słowa te dotknęły tak małpę, iż wzięła na ambicję i w okamgnieniu oberwała dwa—trzy sęki naokoło pnia; ale podczas tej pracy z kieszeni jej wysypał się cały zapas pomarańcz. Raczek szybko schwycił je i zaniósł do swojej norki. Gdy potym wyszedł, małpa schwyciła go i tak zaczęła bić, że ledwie z życiem uszedł. Wreszcie przelękła się tego, co zrobiła, i uciekła.

Na szczęście raczek miał bardzo dużo dobrych znajomych, którzy usłyszawszy o jego nieszczęściu, przybiegli mu na pomoc.

Pierwsza przyleciała osa; zaczęła pocieszać raczka, opiekować się nim, a potym zobaczyła się z jajkiem, i opowiedziała o niegodnym postępku małpy.

Przyszli razem do raczka, a ponieważ byli pewni, że

małpa zjawi się powtórnie po pomarańcze, postanowili zaczaić się i ukarać ją.

Jajko położyło się na ziemi, z zupełnie niewinną miną, jakgdyby dostało się tutaj wypadkiem, osa wleciała do wiadra i wcisnęła się w sam kącik na dnie, a raczek wpełzł w szczelinę skały, żeby go nikt nie dojrzał.

Aż tu zjawia się małpa. Ale czując się winną, stanęła w drzwiach i zaczyna się tłumaczyć.

Cisza... Zajrzała do wnętrza i weszła do norki. A ponieważ była złośliwa, podniosła jajko z podłogi i położyła na piecu.

— Ot — myśli sobie — przyjdzie raczek, a tu jajka niema.

Ale zaledwie pomyślała o tym, jajko pękło z trzaskiem na kilka kawałków i odłamki skorupy do krwi poraniły i podrapały małpę.

Z bólu skoczyła do wiadra, chcąc odświeżyć się wodą. Ale zaledwie pochyliła się nad nim, osa brzęcząc, rzuciła się ze dna wiadra i boleśnie ukąsiła ją w sam nos.

Zapiszczała małpa i zaczęła zmykać, przysięgając sobie w duchu, że się już więcej nie pokaże w norze raka.

Tak się też stało; małpa powędrowała w inne okolice, a raczek powoli wyzdrowiał i żył sobie długo, pod swym cudnym rozłożystym drzewem pomarańczowym.

Wypłakałaś łzy, Mateńko...

Wypłakałaś łzy, mateńko,
Wypłakałaś łzy,
Nad lipową kołyseńką,
W twe bezsenne dni.

Porachuje Bóg łzy w niebie,
W uśmiech zmieni je,
A łzy weźmie — w dar od ciebie —
Matuś, dziecię twe.